

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1844.

Poznań, dnia 13. Marca.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina miod paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Co to jest zbytek, trudném stało się do rozwiązania. W dawniejszych czasach, a mianowicie w Polsce, zbytek uważano z dwóch tylko stanowisk: naprzód kiedy za rzeczy kosztowne, a tylko dla ozdoby służące, wychodziły pieniądze za granicę. Z tej przyczyny zakazywano kupcom sprowadzać klejnotów i innych drogiech towarów. Drugi rodzaj zbytku nieosadzał się na samym przedmiocie, ale na osobie i tak, jeżeli kanonik chował tyle pojazdów i koni co biskup, jeżeli szlachcic jednowioskowy pokazał takie srebra stołowe jak bogaty senator, jeżeli mieszczanin tak się ubrał jak szlachcic. Od XVII. wieku są prawa sejmowe, które przepisują jaki ubiór dla mieszczki jest przyzwyczajony.

Obadwa te punkta, z których dawniej zapatrywano się na zbytek, dzisiaj całkiem znikły. Nie możemy powiedzieć, że rzecz droga sprowadzana z zagranicy jest zbytkiem, albowiem ekonomiści polityczni uczą nas, że to stara bajka, iż naród kupujący ponosi stratę; zyskują obadwa: tak ten, do którego wchodzi pieniądze, jak ten, do którego wchodzi towar.

Oświata dzisiejsza nie pozwala czynić różnicy pod względem życia pomiędzy stanami, stany nawet znosi. U nas na sejmach nie zasiadają szlachta, mieszczenie, chłopci, ale w pierwszym rządzie dziedziści dóbr ziemskich, w drugim posiadziciele gruntów miejskich, w trzecim wieczyści dzierzawcy i właściciele ról czynszowych. Tu również szlachcic głosuje w rządzie, który z dawnego przyzwyczajenia nazywanoby stanem chłopskim, jak chłop w stanie dziedziców, czyli dawniejszym szlacheckim, a szlachcic, mieszczanin i chłop

Rok piąty.

jeden i ten sam może mieć głos we wszystkich trzech rządach i być wybranym od któregokolwiek. Zbytek zatem co do stanu zniknął, gdyż widzimy, że stan jest to już tylko historyczne wspomnienie.

Pomimo to zbytek stoi teraz nietylko na podwójnym, lecz na potrójnym stanowisku, to jest zależy zawsze albo od rzeczy, czyli jest zbytkiem przedmiotowym, albo od osoby, czyli jest zbytkiem osobowym, albo uważany w zastosowaniu do innych ludzi, do położenia narodu i jest względnym. Jeżeli astronom wyda kilkadziesiąt tysięcy talarów na szkła, na zegary, ten mógł sobie jeszcze skromnie postąpić, ale jeżeli to uczynił człowiek, który się tylko gospodarstwem w swoich dobrach trudni, ten popełnił zbytek tak szalony, że na oddanie do domu obłąkanych zasługuje. Tu mamy zbytek osobowy.

Kto ze swoich dóbr wyciąga wszystkie dochody, aby za nie skupował sute srebra, klejnoty i bez wartości błyskotki, ten popełnia zbytek przedmiotowy, albowiem nagromadził rzeczy, które służą tylko do pokazania jego bogactwa, jego próżności, a z tego nie może nic wyniknąć ani dla niego, ani dla drugich. Pieniądze, które są symbolem pracy ubogiego ludu, rzucal w błoto.

Popełnił on jednakże i zbytek względem ludzi, którzy w jego dobrach pracują, zbytek względny. Zebrane bowiem pieniądze rozrzucił pomiędzy złotników, pomiędzy ludzi lekkiego przemysłu, psujących sobie głowę nad wynalazkami drobnych rzeczy, a gdyby był u siebie łąki poprawiał, lasy karczował, kamienie uprzątał, murowane chałupy z podłogami stawiał, byłby

wrócił cóżkolwiek ludziom, którzy na niego pracowali, ludziom, którzy do jednego z nim należą narodu; byłby się mógł popisać z rzeczą prawdziwą wartość mającą, byłby mógł spodziewać się wdzięczności za życia, dobrego wspomnienia po śmierci. Ile razy więc spostrzeżemy u kogo bardzo kosztowne suknie, drogi zaprząg, dowiemy się o sutęj uczcie, zapytajmy się zawsze jaki jego majątek, co on czyni dla tych, którzy pracują dla niego, dla ludzi drugich, a potem osądzmy dopiero, czy popelnia zbytek, lub nie. Spytajmy się zawsze, co to było, u kogo i pod jakimi okolicznościami, ażebyśmy w błąd nie wpadli.

## Piękna Kuzynka.

Widział też kto z państwa Wołyniankę?! Ale notabene dobrze urodzoną? wszak się rozumiemy, nie taką, którą można sprzedać jak pomarańczą — ale szlachciankę, kobietę, co chodzi w modnym stroju i po francuzku potrafi przynajmniej: *bon jour, oui — certainement, non, pardonez* powiedzieć, — bo więcej pocóżby się tam i uczyć miała. Myślicie może, że na to, aby czytać! eh gdzie tam! co tam warto czytać, — dość jeśli przed nią będzie leżał romans otwarty, jak kto wejdzie — to i tak będą myśleli, że czyta, a ona sobie oczu nie zepsuje. A gdy przyjdzie mówić o romansie? o wielkie rzeczy, przecie jak świat światem żaden recenzent nie czyta książki, o której pisze, nawet świętej pamięci Adam, redaktor główny gazety literackiej, co jeszcze w raju wychodziła, miał już ten szanowny zwyczaj. A jeśli byście niewiedzieli, lub nie mogli zrozumieć, jak to mu się udawało, to proszę czytacie recenzje Tyszyńskiego, a uważnie — przypatrzcie im się i książce, z której zdaje sprawę, a przyznacie sami, że już ci jej nie czytał, albo weźcie np. recenzję jaką pani W....., znajdziecie tam rozprawę o wszystkim, bogdaj nawet czy nie o gwiazdach i kometach, tam nie będzie rzeczy, a o kulisach, dyrektorach, teatrze i czerwonych butach, to przynajmniej większa połowa całości, a o samej książce kilka ogólników. Bo też tak najwygodniej. I ja tak zawsze bym pisał, gdyby mnie kiedy Bogi Słowiańskie do jakiej redakcyi zaprzęgly! Ach, bo też to piekło ten zawód redaktorski. Chce sobie pojsć na obiad, gdzie tam, ani myśl o tém, już stoi chłopiec z poprawką, chciałbyś co przeczytać, ani bierz książki do ręki, bo krzyczą, że artykułów brak, jużes przecie napisał, albo wydarł od kogo, chciałbyś iść na teatr,

nieszczęsny człowieku, próżno zapłaciłeś bilet — przynoszą ci pismo wykreślone do połowy przez cenzurę, a tu numer na gwałt jutro wyjść musi, smaź-że sobie głowę, co tu na miejsce próżne wpakować, bo już też żaden prenumeratorem nie przyjmie białego papieru! Możebyś chciał przez noc co napisać! Ani miéj téj słodkiej nadziei — literatura jest chuda, jak żydowska szkapa, więc redaktorski pokój nieopala się i tak w nim zimno, że wszelka myśl aż w głowie marznie! Sami widzicie, że porządnych recenzji pisać niepodobna, trzeba z niemi tak robić, jak ja, oto, com Bóg wie nie gdzie zajechał, mając pisać o Wołyniance. Ale tego mi nie bierzcie za wielomówstwo, ani za złość.

Jest to rysem narodowym Polaka, że przedewszystkiem lubi, musi i umie mówić i pisać o wszystkim. Gdyby mnie kto zapytał, co się dzieje na której gwiazdzie, wypowiedziałbym mu co do joty, choć dalibóg nie więcej wiem od pytającego, ale nie tylko o tém bym mu powiedział, jeszcze o tysiącu innych rzeczach. Mówiąc o gwiazdzie, przyszedłbym do wpływu gwiazd, planet i komet na ziemię. Jak ich bieg na umysł ludzi, zaczęm na historję działań. Będąc raz na polu historii, musiałbym wspomnieć o Francyi, o Okonelli i wojnie hiszpańskiej, stąd już mi bardzo blisko do Zollvereinu, a następnie do Słowiańszczyzny, w téj materji mam bardzo wiele do mówienia. Naprzód o Panslawizmie, który chce gwałtem, aby ludy oświecone, zrzekły się oświaty, a przybrały ciemnotę i dziczyznę tatarską na jej miejsce, dalej o Mickiewiczu, który jednak nie musi być tak niedorzeczny, jak się z daleka wydaje i musi być na reformie socyalnej osnowany, ale się przebrał w kaptur mistycyzmu i czapeczkę śmiesznych obrzędów. Ztąd do reform socyalnych przyszedłbym, że je nie trzeba pojmować jako rozbój, albo robienie z ludzi stada zwierząt, ale jako dążność do coraz większej i powszechniejszej oświaty i miłości między ludźmi. Ztąd słówko bym dodał o ludziach, którzy krzyczą bardzo wiele o postępowych zasadach, a piją, grają w karty, intrygują, zrywają wszelką przyzwoitość i obyczajność, albo po szlachecku marnują czas, powiedziałbym, że ci ludzie nie znają zasad postępu i nie rozumieją ich. Tylko coś o nich zasłyszeli i fanfaronują. Albo kryją się pod nie, sądząc, że ich brudne życie zasłonią szumne słowa. Bo gdyby inaczej było, wiedzieliby, że ten tylko pod chorągiew postępu może być przyjęty, kto się enotą w życiu odznacza. Ztąd jużby mi pozostał tylko jeden krok do emancypacyi kobiet. Powiedziałbym, że emancypacya jest dążeniem do dania kobiecie jak najwyższego wykształcenia, aby tém enotliwszą

matką i żoną być mogła, nie zaś jak wielu sądzi patentem na życie rozpasane, mędrkowate i intryganckie, wreszcie, o dagueryotypowaniu obyczajów dzisiejszych w powiastkach, w postaci i twarzy na płytach, dalej, o elektryczności i elektromagnetyzmie spomniawszy, wróciłbym na moje gwiazdę. Już teraz czas, bym wrócił do mojej wołynianki.

— Jeśli nikt z was żadnej Wołynianki niezna, to darmo! motyką słońcu nie uczynisz wielkiej krzywdy, nie będziecie mogli pojąć, co to Wołynianka.

— A to czemu? — rzecz bardzo prosta — bo i na wołowej skórze nie potrafi nikt, nawet najlepszy z charakteropisarzy, opisać Wołynianki, jest to coś — coś takiego, że wszelkie wyobrażenie przechodzi i jakoś tak urządzone i stworzone, że nie pojmysz, co to jest, póki nie zobaczysz! To coś i jakoś — to fatalne wyrazy. Ale jeźliście ciekawi, powiem wam anekdotkę o jednej Wołyniance — i to o mojej kuzynce, kiedy obrazka mimo najlepszej chęci niemógłbym wam dać, to przynajmniej jakąś milionową cząstkę szkica — lepszy rydz jak nie! A Wołynianeczka śliczna jak... jak — istotnie nie wiem co — bo jeśli kiedy, co rzecz arcy rzadka, Wołynianka ładna, to pewnie do żadnej innej kobiety ładnej nie podobna, bo tak szalenie parafiańsko ładna, że z niej się człowiek razem śmieje i kocha się w niej. Otóż właśnie w ostatnim byłem przypadku. Byłem u jednej z moich kuzynek — Wołynianki i pięknej. Niewiem jak się to stało, ale ilem razy ją zobaczył, parsknąłem ze śmiechu. Jednak człowiek przecie nie skała, serce nie lód, a śmiać się wiecznie nie można; więc powoli — powoli, bardzo mi się zaczęło na miłość zbierać, jeśli nie na Werterowską, to przynajmniej na taką codzienną, jak to państwo najlepij wiecie.

Piękna kuzynka, nie była też ze skalnego kryształu. Kiedy to człowiekowi tak mdło się na sercu zaczyna robić, oczy się zawsze w pół przymykają, pierś często, a tak ciężko wzdycha, przytém, z czoła kuzynki każdą się myśl czyta, uprzedza, w zdaniu broń Boże nie różni, albo się je odgaduje, nim je śliczne usteczka wymówią, albo spierając się, otwiera się pole, aby wyższości pięknej przeciwniczki dać wyblysnąć, albo wreszcie, jak najdalej w sprzeczce zapędziwszy się, powtórzyć z cicha, — kto się kocha — ten się klóci. Ależ więc, kiedy to człowiek się stanie galantem i w takim jest usposobieniu, to trzeba nie lada srogości serca, żeby się ślepemu bożkowi nie dać w niem rozgościć. Dodajmy do tego, że moja kuzynka — teraz ję już nie Kocham, więc mogę powiedzieć, jako Wołynianka nie była bardzo dowcipna, lada co mogło ję do gustu przypaść, a tém bardziej,

nie chwając się istota mojęj urody, wykształcenia, dowcipu i innych zalet, których tu wrodzona mi skromność, jako dotyczących mnie, nie dozwala wymieniać. Nad to wszystko i ta jeszcze przyczyna na uczucia pięknej kuzynki wpływać mogły, że jęj mąż był to sobie całą gębą Wołynianin. Wart więc żony, a żona męża, czyli wart pac pałaca, a pałac paca, ale jednak człowiek, który nim raczy z kim mówić, musi wiedzieć, czy on z rasy poprawnej i czy nie jest bardzo stósownym przedmiotem affektów strzelistych pięknej kobiety, choćby ona była nawet Wołynianką. Jak bądź tak bądź, kuzyneczka nie była na moje westchnienia, omdlewające spojrzenia, usłużność, i zabiegi o przypodobanie się nieczułą. Kiedy się z nią zobaczyłem, tak długo, długo białą rączkę do ust przyciskałem, a oko tak czule w jęj topilem spojrzeniu. Już rozmowy nasze nietylko polegały na spojrzeniach, nieraz mnie za rękę ścisnęła kuzynka, ach! wszakże w tém niema nic złego? — między kuzynostwem! — nieraz przypadkiem zapewne, jęj zgrabna nóżka przycisnęła moję stopę, a kiedy się zmierzchało, a ona wychodziła z saloniku wiejskiego, zdawało mi się, ale zapewne tylko zdawało, że przykładła palec do ust — i mnie czule posyła pozdrowienie. Ależ to mi się tylko zapewne zdawało. Wszak w zmroku każdy kot bury, może ona — odganiała komara, co śmiał blisko jęj twarzy rozstrojoną zabrzączyć piosnkę.

(Dokończenie nastąpi.)

## Ż Y D Z I.

*Komedia w czterech aktach,*

przez

KORZENIOWSKIEGO.

Jest to jedna z najlepszych sztuk znakomitego naszego pisarza, sztuka postępową; nie względnie na pomysły jakie rozwija, ale względnie na ducha i talent autora, który tą razą dopiero wyzwolił się zupełnie z pedantycznych pęt, jakie każdemu narzucają szkolne wyobrażenia o komedyi, tragedyi i t. d. Kiedy w najlepszych utworach dramatycznych razila prawidłowa usilność, aby szczególne wady i śmieszności, cnoty i zalety, uczucia, namiętności i występki, niejako z życia wybrać i odłączyć same dla siebie umieszczając w osobnych zasiekach, gdyby różne gatunki zbóż; to w mierzniejszych nawet dziełach podobać się będzie wzór przyrodzonego ich pomieszania i spojenia w właściwych sobie stosunkach. Takim wzorem są „Żydzi“ Korze-

niowskiego. Widać w nich jeden przymus mniej w sztuce, jeden krok naprzód do połączenia się z naturą. Dla tych, którym szczególnie chodzi o nazwisko i jego urzędowe znaczenie, nie jest to komedia, są to obrazy rzeczywistego życia. Znikczemnienia panów w ich uczuciach i czynnościach, podłości teraźniejszego wyższego społeczeństwa przez zwyczaj utratę, nie chciał Korzeniowski ośmieszać i wyszydzać, bo to byłoby czynić im zaszczyt. Dość jest pokazać je nago, bez dodatków i przesady, aby wstręt w sercach pocziwych obudzić, przekonać, jak są szpetne i ohydne. Bo nie komiczność w nich razić i uderzać powinna, ale nikczemność. Co zasługiwało na wyśmianie, to wyśmiał. Kaprysy, zfrancuziałe wychowanie i łaskotliwość nerwów hrabiny, głupie trzepakostwo i intryganckiego ducha ciotuni, wstydzienie się marszałka pochodzenia swojego obok puszenia z dorobków zebranych przez ojca nieuczciwie. Ale jego chciwość lichwiarska, charakter hrabiego wyzuty z uczuć ludzkości, samolubny, pełen próżnej dumy, szkodliwej przewrotności i tak dalej, to już nie śmieszność, to są plugawe wrzody w społeczeństwie, które nie wyśmiewać potrzeba, lecz się nimi brzydzić. Niech co chce krzyczy ślepa gorliwość o kalaniu gniazda własnego, są to zawsze krzyki oszukanych lub oszukujących. Stara to i wyśmiana piosneczka, powtarzana przez dobre chęci, mające mało rozumu i przez zepsucie, chcące się gdyby tarczą zasłonić tym mniemanym patriotyzmem głupców.

Jako? więc nie ten kala gniazda ojczyste, który dopuszcza się brudów i podłości, ale ten, który je palcem wytyka, zasłużoną hańbę okrywa i wystawia na publiczną wzgardę? Znosić, utajać i zakrywać, czy to śmieszności, czy zgniliznę społeczną nie jestżeto pielegnować je i utrwać? Ten tylko, który w porcorze ducha w pierś się uderzy: mea culpa, ma szczerą chęć poprawy i jest na drodze honoru i zbawienia. Nie wystawia też Korzeniowski tych nikczemności tylko jako zwiechnięcie i zepsucie narodowego charakteru, wyparcie się właściwych mu cnót, dawniej zacności w uczuciach, uczciwości w uczynkach, których rysy i podobieństwa przedstawia nam w Staroświeckim i w wyobrażeniach jego o dawnych panach. —

Pocziwy ten starzec, przejęty czcią dla sławnych i zasłużonych rodzin ojczyźnie, nie może pojąć, aby spadkobiercy wielkich imion nie byli także spadkobiercami cnót i zacności przodków, aby to, co on nauczył się uwielbiać i wysoko cenić, właściciel sam ponie-wierał jak szmatę. Jakoż istotnie czyliż nie zoboje-tnienie na imię, które przodkowie uświetnili poświę-

ceniami i uczciwością, dozwala następcom dopuszczać się lichych uczynków i brudów, szydząc w duchu z tego jak z przesądu, co inni splamieniem dobrego imienia, uwłóceniem pamięci przodków nazywają, byle tylko zapewnić sobie byt dobry? Dawna duma nie pogardza bliźnim, tylko płaskością i niegodziwościami. Stała ona na straży życia, nie pozwalając go splamić. Oburzały ją najmniejsza chęć podejsia, cień oszukaństwa. Ona tworzyła charakter wspaniały i dobroczynny, jawny w uczynkach, w miłości i w nienawiści. Dzisiejsza duma przeciwnie oswoiła się z chytrością, makinioństwem, szachrajstwem, lichwiarstwem i t. d., odjęła imieniowi i pochodzeniu wszystko, co je niegdyś świetnym i znaczącym robiło, a dumną została z imienia i pochodzenia.

W tém świetle widziany charakter Staroświeckiego dziwnie jest piękny, prawdziwy i wykończony. Patrzy on na nowe pokolenie oczyma wieku swojego, ze starymi doświadczeniami i dawną wiarą w sercu; w każdym dawnym imieniu spodziewa się dawniej dumy i prawości, każdy doznany zawód razi go i dziwi, ale nie zmienia, on już tak umrze. Do najszczytniejszych scen należy niezapreczenie ta, w której on mogąc się zemścić na hrabi za doświadczone niesprawiedliwości, poniżenia i pogńębienia, mogąc tą zemstą ustalić szczęście swoje i ukochanego syna swojego, zrzeka się jój bez namysłu, nie szukając z tego chwały, ani czyniąc sobie zasługi: oddaje księżniczce list miłośny do syna jego pisany i odradza ten związek dla nierówności stanu. Wszystko szczytne styka się blisko z poziomem, i to byłaby już myśl poddańcza, gdyby się w niej nie wyrażało uczucie szlachetności, ledwie już teraz pojętej i niczym nie zachwiane przekonanie, że z ojcem księżniczki, a dobrodziejem swoim gdzieś się za grobem obaczy i tym go uczynkiem ucieszy.

W ogólności skreśleniu charakterów poświęcił Korzeniowski w tej sztuce szczególniejszą troskliwość i z wielkim skutkiem. A parallelizm w tych charakterach, czyli wytknięcie obok znikczemnień i wad odpowiednich im zacności i zalet jest piętnem prawdziwego umnictwa i silne czyni wrażenie. Tak marszałkowi wstydzącemu się swego pochodzenia, a popełniającemu bez skrupułu i wstydu brudne uczynki, wybornie odpowiada baron Izajewicz wykrzta, który do pochodzenia swojego przyznaje się, lecz w terażniejszym położeniu postępuje przyzwoicie i uczciwie, bez fanfaronady i dymów. Hrabinie kapryśnej i zfrancuziałej, błyskotliwej i próżnej, bez charakteru woli i rozumu odpowiada polskie i stósownie do czasu późniejsze wychowanie księżniczki, z sądem zdrowym

i wolą silną. Znikczemiałemu hrabiemu, gotowemu do wszelkich podłości, odpowiada zacny charakter Staroświeckiego.

Staroświeckiego wyobrażenia o panach są przedstawicielami dawniej ich dumy i prawości, hr. Ponicki przedstawicielem terażniejszego ich upadku i znikczemiaenia, a Antoni, syn Staroświeckiego, przedstawicielem nowego pokolenia, które z miernego stanu wzniosłszy się przez wychowanie i rozum z wszechpioną przez rodziców prawością w sercu, innemi już jak rodzice na świat poglądują oczyma, dla innych doświadczonych, jakich doznało wielkie imię i wielka duma, ogołoczone ze wszystkiego, co je niegdyś wielkiemi czyniło, a skalane wszystkiem, co kała, wydają mu się wciśniętym w błoto pęcherzem, budzącym śmiech i pogardę. Kiedy na wzmiankę takiego imienia Staroświecki przejęty jest uszanowaniem w dobrej wierze, bez poniżenia i służebnictwa, to syn jego już się uśmiecha niewiernie i szydersko. Obaj na inne patrzyli wzory i przykłady, obaj mają słuszość, bo są rozumnymi przedstawicielami części i prawości w dwóch różnych wiekach.

Z całego obrazu taka wynika nauka, że sławne imię i pochodzenie jeżeli się nie uzacni cnotami, jakie mieli przodkowie, owszem z bezczęści wadami, jakich oni nie mieli: to nie zastąpi od pośmiewiska i wzgardy, zdrobnieje i znikczemieje jak zdrowe ziarno, kiedy się zwiedzie. Drobne zaś imię i najniższe nawet pochodzenie uczacniają i wynoszą uczynki, zasługi i przymioty. Jeżeli zaś w całej tej sztuce przebija, jakoby dzisiejsi panowie byli często żydami gorszymi od żydów, bo nie z nazwiska, ale z uczynków, tom już ja temu nie winien, nie winien także i autor. Osoby jego wiernie są skreślone i żywcem z życia wyjęte, obrazy wszystkie prawdziwe, co z nich wynika, jest wynikiłością prawdy. Ztąd też pochodzi bardzo właściwe nazwisko tej sztuki. Wystawił w niej autor różne przykłady szlacheckiego żydostwa, jak je nieraz w życiu napotykamy, a dla podniesienia obrazu dał nam zarazem w Aronie Lewe przykład żydowskiego szlachectwa. Jakoż istotnie chciwość, lichwiarstwa, szachrajstwa, okpiwania i tym podobne uczynki, jakich często dopuszczają się żydzi z potrzeby, dla braku innego utrzymania, dla poniżającego położenia swojego w społeczeństwie, bo jak słusznie powiada Aron Lewe, żyd bez pieniędzy nie jest człowiekiem: to szlachta dopuszcza się tego nieraz z czystego zamilowania, przez zwolennictwo, ku pomnożeniu w brudny sposób dobytów, jakie znowu najczęściej w brudny sposób roztrwoni, aby uwiecznić w sobie żydostwo.

Otóż ta idea żydostwa jest tłem sztuki Korzeniowskiego, szczególne obrazy na to są tylko, aby ją ztwierdzić jakby wezwanie świadków na dowód i przytoczenie przykładów. To jest prawie całą jej treścią, a zawikłania i intrygi niemasz. Wygląda ona jak pozew społeczeństwu wydany i przewidziany publicznie. Brak zatem umniczego budownictwa jest podobno szczególną jej wadą. Przeto nie budzi ogólnego zajęcia dla całości działania, tylko szczególne dla seen i obrazów szczególnych. Patrzymy z upodobaniem na podobieństwa moralne dusz i charakterów, jak gdyby w panoramach na podobieństwa miast. W tém szkieleku Lwów, w tamtém Warszawa, a łączy je ziemia, na której stoja i ziemia polska. Całe sceny możnaby wypuścić, nie ujawszy sztuce nic więcej, prócz tych scen. To jest, sztuka nieucierpiałaby na tém, bo nie stanowi dowodu ten lub ów świadek, gdzie ich jest tylu; ale ucierpiałaby publiczność, bo wszystkie te sceny ładne są, wszyscy ci świadkowie ciekawi sami dla siebie. Cała scena w domu marszałka jakież ma związek z całością? cóż ma z ogółem wspólnego? Otóż jest ona ustępem z życia szlacheckiego żyda, a w sztuce o tym jest mowa, dajmyż ją tutaj. Taki związek części z całością dobry jest w rozprawie, albo powieści, ale w dramacie zdałby się inny, czyniący część każdą dla całości konieczną i wiążący je z sobą wieloraką zawistością, i nieodbitą potrzebą. Co sprawuje w widzach wrażenie powszechne, czyli zajęcie się częściami dla ich całości, kiedy w niniejszej sztuce Korzeniowskiego przeciwnie części zajmują same dla siebie. Wada ta jednak, jeśli nią jest istotnie, nie ujmuje chwały dziełu, mającemu z kąd inąd tyle rozlicznych zalet i piękności, jakie go mieszczą niezaprzeczenie w rzędzie najpierwszych dramatów.

*Dr. Leszek Dunin Borkowski.*

## Ojciec Marek.

Nazwisko to przenosi nas w czasy konfederacji Barskiej. Wiadomo, że Pułaski i Krasiński — są słowa autora o konfederacji Barskiej — zapewnieni o przychylności prawie powszechnej, celem wyswobodzenia Polski z pod narzuconej gwarancyi, od kilkuset obywateli w zamiarze utwierdzeni, zjechali do Baru, miasteczka na Podolu, i tamże akt konfederacji pod dniem 29. Lutego 1768. roku, wraz z sześciami podobnym uczuciem, natchnionymi obywatelami, sporządzili. Tym samym aktem obrany został

Krasiński generalnym marszałkiem, a Józef Pułaski marszałkiem wojska związkowego. Rozpisano uniwersały do wszystkich ziem i powiatów, i wzywano szlachtę do współdziałania. Wkrótce urosła konfederacja i liczyła już 8000 wojska, gdy się wojska nieprzyjacielskie na Podole ścigać zaczęły.

O mil kilkanaście na północ od Baru, leży miasteczko Berdyczow, książąt Radziwiłłów dziedziczne, jarmarkami i obrazem Matki Boskiej w kościele księży Karmelitów sławne, gdzie podobnie, jak do Częstochowy gromadzi się lud na odpusty. Pobożność odwiedzających nagromadziła tam znaczną liczbę darów bogatych, a troskliwi o świętość i o te skarby kościoła zakonnicy, obawiając się zjadłości i łupiestwa Hajdamaków, oddali siebie i klasztor w opiekę konfederatów. Miasteczko poszło za ich przykładem, a tak interes wiary połączył się z interesem własnego bezpieczeństwa.

W tym klasztorze mieszkał ksiądz, Ojcem Markiem nazywany, z pobożności, nieskazitelności obyczajów w okolicy wstawiony, a między gminem za oblubieńca boskiego uważany. W 45 roku życia, z wyobraźnią exaltowaną dał przystęp gwałtownym wrażeniom, jakie na jego serce i umysł wywarły rzezie ukraińskie, krzywdy obywatelskie, więzienie biskupów, zniewaga kościołów, i wszędzie głoszone niebezpieczeństwo wiary katolickiej. Gdy się konfederaci na Podolu zbierać zaczęli i Berdyczew zajęli, Ojciec Marek, zebrawszy sobie kompanią nabożnych i gorliwych, z krzyżem w ręku, chorągwią i różańcem wyszedł z klasztoru. Chodził po wsiach i miasteczkach, zagrzewając mieszkańców katolickich kazaniami, aby dla obrony wiary i wygnania jej nieprzyjaciół, łączyli się do konfederacji.

Niechętni tylko duchowieństwu pisarze, oczernili księdza Marka za fanatyka, a nawet oszusta, przypisując mu chęć robienia cudów. Wszakże jeżeli go od exaltacji i mystycyzmu zupełnie uwolnić nie można, to jednak stan taki duszy łatwo tłumaczą okoliczności czasowe, gdzie rzeczywiście cudu prawie trzeba było na oparcie tłoczącemu się ze wsząd barbarzyństwu, zdradzie, podłości i zepsuciu. Nie splamił się ks. Marek żadnym haniebnym czynem, a wejście jego do obozu konfederatów, dzielenie z nimi trudów i niebezpieczeństw, ku ocaleniu niepodległości narodu, znamienuje gorącego miłością ojczyzny Polaka.

Kiedy Imperatorowa zażądała, aby król Stanisław wojska polskie dołączył do rosyjskich dla wspólnej walki przeciw konfederatom, hetman Franciszek Xawery Branicki, nakłonił wahającego się króla, do wydania rozkazu gwardyom i sam na ich czele ruszył na Po-

dole. Za przybyciem hetmana generałowie rossyjscy postanowili atakować Bar, który obwiedziony suchą fossą i palisadami, nie licząc załogi nad 4000 wojska, prawie bez dział, długo się bronić nie mógł. Kilkadniowe oblężenie wycieczkami odpierane, z których jednej miał być dowódczą ojciec Marek, w aparaty kościelne przybrany. Bar wzięty został szturmem 20. Czerwca 1768. r. i zabrano 1200 niewolnika. Między nimi dostał się także w ręce Rossyan Ojciec Marek. Rulhiere opowiada, że generałowie kazali go zabić, ale żołnierze przeniknięci jego świętobliwą postawą, nie chcieli być posłuszni, i do nóg mu się rzucali, słuchając jego prorocत्व.

Wszakże więcej niżeli ten historyczny obraz, skreślony nam przez autora wiadomości o konfederacji Barskiej, charakteryzuje ks. Marka, list przytoczony przez tegoż pisarza. List ten jest następującej treści:

„W awantury nie wdawaj się, bo w niebie już po dekrete, w którym *integritas libertatis, integritas fidei et integritas granitium in avulsis* wygrana, od Trójcy przenaświętszej jest podpisana. — Siedz cicho do czasu. Co mi powiedziano z góry piszę: *dabitur vox, fugiet nox, veniet lux, et sic miserabitur super regnum regni Poloniarum Maria*. To ci z ciekawości dekretów niebieskich, które żadnym sposobem odmienione być nie mogą, oznajmuję ku ocaleniu ojczyzny, i lepiej ci będzie. — Bądź zdrów.“

Któż w tych słowach Marka *dabitur vox, fugiet nox* i t. d. nie widzi tego samego mystycznego natchnienia, które Mickiewiczowi w najnowszej jego piosnce do Bogdana Zaleskiego nastęrczyło, nie oledwie te same wyrazy i tę samą miarę:

„Bo wyszedł głos

„I padł już los

„I tajne brzemie lat,

„Wydalo plód

„I stał się cud,

„I rozraduje świat.“

Spotkały się tu równe usposobienia ducha, równa exaltacja uczuć, aż do widzeń i prorocत्व; — z tą tylko różnicą, że w ks. Marku widzimy gorliwego dla wiary ojców kapłana, ukrzepiającego się w wierze tępioną nożami Ryzunów i Czerńców; że widzimy gorliwego Polaka patryotę, który krom Boga kraj swój nad wszystko ukochał, i z miłości do tego kraju i do wiary wpadł w stan nadzwyczajny umysłu; — kiedy autor Grażyny jakąś nową, niezrozumiałą dla narodu wiarę roznieca, a miłość kraju ojczystego, obok idei nowego Messyanizmu gdzieś do niedojrzanego zagnał zakątką.

Mimo to professorowi wykładajacemu historią i literaturę ludów słowiańskich ze stanowiska mystycznego i upatrującemu wszędzie działanie kolumn duchów białych lub czarnych, pożądaną być musiała figura ks. Marka, którego wieść gminna obok wieśniaka Wernyhory proroczym urokiem owiła, i który rzeczywiście wśród owego zamętu zniszczenia, owę krwawęj rzezi humańskiej, zdrad i niecnót Targowicy, i straszliwych konwulsyi konającego narodu, stawa potężny siłą ducha, roznieconego ogniem wiary i miłości ojczyzny, na tych gruzach i zwaliskach kraju swojego.

W odczytach Mickiewicza zeszłego roku, znajdując czytelnik całą konfederacją Barską, uważaną z tego stanowiska walki duchów poświęcenia, przeciw duchom zniszczenia, a rej w tej walce wodzą ks. Marek Karmelita i Wernyhora.

Z tej samej przyczyny prorocza ta postać Ojca Marka opromieniona natchnieniem, i cudownym światłem z owęj ciemni dziejów, w powieściach ludu do nas się przeglądająca, musiała natchnąć rozgorzałą duszę Juliusza S., także ucznia Towiańskiego, i stać się najgodniejszym przedmiotem jego poezyi.

Węc się nie dziw, że tak błyskam,  
Jak Mojżesz duchem natchnięty,  
Żem jest jako ów Jan święty  
Widzący to — co ja widzę...  
Bo zaprawdę jestem w lidze  
Z duchami i ze świętymi!  
A chociaż niski na ziemi,  
To duchy okryte zbroją,  
Na ramionach moich stoją!  
Z kończą się gdzieś w bezkońcach,  
W świecie, — gdzie gwiazd zawierucha,  
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,  
Za słońcami — w słońcu ducha.

Otóż ks. Marek, jak Towiański uzbrojony kolumnami duchów, połączaniem ducha swego, unoszący go gdzieś po za gwiazdy, w bezkońce. Tak go maluje S., zaraz za pierwszym wystąpieniem pierwszego aktu.

Wszakże poemat ten dramatyczny na trzy akty rozłożony, mimo tej podniety mystycznej w autorze, ma świetne swoje strony, i z poezyi J. S. może jest najszczytniejszym dziełem. Autor rozlubował się w proroku Marku, a nie mogąc go wyjąć z czasu i okoliczności, w których się obracał, mimowolnie złął całą potęgę ducha swego w charakterze Marka, stopił go z jego miłością ojczyzny i wiary, i wśród upadku walącego się w gruzy wielkiego ojczystego państwa, wyśpiewał przyszłość narodowi taką siłą natchnienia,

że zda się, iż słyszysz trąbę archanioła, powołującego umarłych do zmartwychwstania. Oceńmy wartość dramatyczną tego dzieła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## ROZMAITOŚCI.

Londyn. Chcąc wielkość Londynu przedstawić, często go obliczano, i porównywano z innymi miastami; najlepsze przecie daje o nim wyobrażenie następujące porównanie: gdyby połączono ludność Liverpoolu, Manchesteru, Birminghamu, Leedsu, Nottinghamu, Bristolu, Newcastleu, Cambridge, Yorku i jeszcze sześćdziesięciu najznaczniejszych miast angielskich (które są po nazwisku wymienione), nie utworzyłyby jeszcze Londynu; gdyż te 69 miast wynosiłyby 1,873,189 dusz, gdy tymczasem Londyn do dwóch milionów liczy mieszkańców. Sześćdziesiąt miast tak wielkich jak Exeter, dopiero zajęłoby przestrzeń Londynu, a wielkość olbrzymia tego miasta tak dalece wzrasta, iż co trzy ćwiercie roku liczba mieszkańców powiększa się o ludność Exeteru. Londyn też tak jest ogromnym, iż wzrost taki, ani może być dostrzeżonym, i jest jak wiadro wody, dolane do morza.

Wiadomą jest rzeczą, iż za pomocą nowego wynalazku, zwanego galwanoplastyką, można zdejmować obrazy miedziorytowe, tak dalece, iż trudno je od oryginału odróżnić i w takiej liczbie i tej dokładności, jak miedzioryty. Najpiękniejszy wzór tego rodzaju podał Franciszek Theyer we Wiedniu, który wyborną płytę Voigta, podług obrazu Karola Dolci (Śtego Jana) odbił za pomocą galwanoplastyki. Odciski tego rodzaju dla tego są bardzo tanie, a w Hali pan A. Klotz, przełożony instytutu głuchoniemych, na korzyść swego zakładu, ogłosił przedpłatę, po 4 zł. pol. za jeden podobny obraz. Podpisy zbierają i u nas w Wielkiem Księstwie po dekanatach, a przynajmniej ile sami przekonaliśmy się w dekanacie poznańskim.

W Hanowerze budować będą nowy teatr, na który przeznaczono 800,000 talarów.

Znana hr. Merlin, pełna zdolności umysłowych, wydała niedawno trzy tomy opisu Hawanny, z którego wyjmujemy opis pogrzebu: „Pogrzeb osoby znakomitej w Hawannie odbywa się z wielką okazałością. Ciało zmarłego spoczywa na czworokolnym wozie, je-

dynym w całym mieście. Głośno modlący się duchowni idą bezpośrednio za wozem, po nich następuje tłum murzynów we wielkiej liberyi, z herbami, fręzlami na wszystkich szwach i w krótkich spodniach. Idą dwoma rzędami, trzymają w ręku wielkie pochodnie. Teraz następują dwukolne powoziki; każda osoba ma dla siebie taki pojazd i pochodź żałobny tym sposobem bardzo się powiększa. Murzyn w liberyi arcy śmiesznie wydaje się w porównaniu do tak poważnego obchodu. Tak wystrojonych afrykańskich legionów pożyczają sobie nawzajem bogate rodziny, aby podnieść świetność pogrzebów. Ponieważ murzyni prawie nago chodzą, więc pod ciężkimi sukienkami ubiorami, obcisłymi spodniami, nakryci wielkimi trzyrogatami kapelusami, poca się i świecą, jak sadła lub pieczenie, puchają jak miechy kowalskie, rozpinają na sobie ubiory, zaginają rękawy po łokcie, sadowią kapelusze zupełnie na tył, lub na ucho, przytém balansują, dla utrzymania ich w równowadze i nie stracenia z głowy, — wystawcie więc sobie kilka set czarnych figur balansujących za pogrzebem!

Po francuzkich gazetach umieszczono szczególniejszą wiadomość o odkryciu ruin gallo-rzymskiego miasta, w wielkim boru, niedaleko Saint Saulge, 5 godzin ku północ-wschodowi od Nevers. Śród tego miasta znajdowała się świątynia, wielkie place, liczne ulice, a codziem znajdują naczynia, małe posągi, ułamki ogromnych i pięknych słupów i mnóstwo innych zajmujących przedmiotów. Szkoda wielka iż tylko 100 talarów przeznaczono na poszukiwania tam znajdujących się osobliwości.

Stary Castelli opowiada w jednym piśmie („Grenzboten“), iż za napisanie tekstu do ulubionej powszechnie opery „familia szwajcarska“, 8 złt. reń. otrzymał. Tekst drukowano w 6 nakładach, a operę odgrywano po wszystkich teatrach Europy.

## M O D Y.

Paryż, dnia 20. Lutego 1844.

Czas terazniejszy zajęty jest u nas balami, wieczorami i koncertami; wszędzie tańczą, a my mieliśmy sposobność przypatrywać się pięknym ubiorom.

Naprzód opiszemy ubiór pani B. Jój suknia z brązowego aksamitu okryta była aż do środka powłoki gładko przyszyta czarną koronką w gockie wzory; rę-

kawy chatelaine i szeroka berta podobnej koronki, były ujęte w sprzączki wielkie diamentowe. Wschodni turban ze złotymi ozdobami dokończył ubioru.

I następujący ubiór młodej damy wart także wspomnienia. Suknia z niebieskiego aksamitu, z przodu otwarta na powłoce białej atlasowej; dwa rzędy angielskich koronek, jako garnitur na wyłogach stanika, którego przodek był z białego atlasu, na podobieństwo otwartej powłoki. Podobne koronki u rękawów, za strój głowy toczek niebiesko srebrzysty.

Inny ubiór stanowiła suknia z białej krepy z podwójną powłoką tunikową, której brzegi lekkim haftem z czerwonej szneli były osute; berta slaniająca się aż do przepaski i krótkie rękawy z podobnym haftem; włosy ozdobione czerwonymi gwoździkami.

Suknia z różowego haftu włoskiego, miała dwie falbany z różowej krepy, u stanika sute fałdy; strój głowy z kwiatów.

Ku dopełnieniu tego opisu ubiorów, wspomniemy jeszcze o jednym, który odznaczał się wybornym gustem. Była to biała suknia atlasowa, czterema pasami łabędzika osadzona, podobne paski powtarzały się na rękawach i staniku, który nie miał żadnej berty. Strój głowy z półszarfą z białego lekkiego tulu ze srebrną fręzlą, z obu stron brylantami utrzymywany.

Dla młodych panien dodajemy kilka uwag:

Na balach bywają zawsze suknie dla nich bardzo lekkie i skromne, w jakimkolwiek kolorze. Powłoki są zazwyczaj podwójne, z których jedna ujęta jest w bukiet kwiatów (w niezapominajki, jeżeli suknia jest biała); stanik i rękawy w wodę; loki angielskie długie, z różeczką kwiatów na boku.

Najmodniejsze trzewiki dosyć wysoko zachodzą i są osadzone koronkami i bufkami.

## Objaśnienie ryciny.

1. Strój głowy z koronek i kwiatów. Suknia krepuwa o dwóch powłokach.
2. Włosy w kwiaty zdobne. Suknia tulowa z dwiema powłokami.
3. Strój włosów z koronek i kwiatów. Suknia atlasowa, koronkami oszyta.